
„MONTANUS” I „OREINOS”

CZYLI TORUŃ MISTRZÓW

Zyliśmy w ciekawych czasach, to na pewno.

Było moim udziałem zdawać maturę niemal dokładnie podczas protestu poznańskiego, a studia zacząć w Październiku – tym właśnie, tym przez duże „P”. Mój rocznik był na studiach trzecim, któremu gomułkowski przewrót skreślił z programu wykłady z ekonomii politycznej (dano nam w to miejsce historię filozofii)... i ostatnim, któremu gomułkowski nawrót jeszcze tych wykładów nie zdążył przywrócić. Ciekawe były czasy.

Na toruńskiej polonistyce socrealizm straszyl jeszcze głównie w osobie jednego asystenta, kilka lat wcześniej głównego motora buntu młodych naukowców przeciw profesorom reakcjonistom, wstecznikom itd. (kto jeszcze dziś te śliczne słówka pamięta?), który to bunt zakończył się był usunięciem z wydziału głównych wrogów ustroju, w tym profesora Konrada Górskiego. Kiedy byłam na pierwszym roku, ten asystent jeszcze wykładał, i pamiętam, jak śmiałyśmy się, że w jego wykładach tylko spójniki są pochodzenia polskiego; reszta, z większością czasowników włącznie, to była typowa marksistowska terminologia o źródłosłowach obcych. (Ta moda, niestety, teraz wraca). Później obaj gdzieś znikli, asystent i stosowany do literatury marksizm, i na szczęście nie wrócili. Górski natomiast od połowy naszego pierwszego roku wrócił, i to był triumf przeżyty entuzjastycznie przez młodzież studencką z jednej strony, a przez cały wsteczny, reakcyjny i katolicki Toruń z drugiej. Przez „młodzież” rozumiem tu nie tylko studentów polonistyki: kiedy Górski ogłosił otwarte ćwiczenia z recytacji, trzeba było na nie przeznaczyć największą dostępną salę w Collegium Maius, a uczestnikami tych ćwiczeń byli studenci najróżniejszych wydziałów.

Imponował nam ogromnie. Był, przede wszystkim, człowiekiem, który za koszmarnych stalinowskich czasów dowiódł, że nie jest na sprzedaż. Po drugie, miał ogromną wiedzę i potrafił jej udzielać. Po trzecie, miał ogromną kulturę, a tej byliśmy spragnieni nie mniej niż wiedzy samej. Po czwarte, stał się natychmiast filarem tej niebywalej nowości, jaką był wówczas Klub Inteligencji Katolickiej, w którym to klubie miały odtąd miejsce wszelkie najciekawsze wydarzenia kulturalne. I wreszcie, co też nie do pogardzenia, miał swoje śmieszności: ten marszowy krok, ta nieodłączna laska (ze zwiniętym w środku parasolem), liczne powiedzonka i lingwistyczne koniki... Dawał się lubić i dawał się na wesoło małpować.



Prof. Konrad Górski

Fotografia pochodzi ze zbiorów
Gabinetu Dokumentów Życia
Społecznego Biblioteki Uniwer-
syteckiej w Toruniu
– syg. f.-1425

Okazało się jednak, że mój rocznik musiał poprzestać na lubieniu go z daleka. Miał dla nas, oczywiście, wykład kursowy – na drugim roku – ale seminarium magisterskiego dla nas jeszcze nie otworzył. Kiedy powrócił na uniwersytet, uzyskał dla siebie prawo do szczególnego zajęcia się następnym rocznikiem, tym z naboru roku 1957; chciał go prowadzić od początku i formować wedle własnych prawideł sztuki. I tak się też stało, ale my – rocznik, który go powracającego powitał – pozostaliśmy z boku. Niewątpliwie, gdyby taka możliwość istniała, poszłabym na jego seminarium z romantyzmu; nie tyle dla romantyzmu, ile dla tego, co można było otrzymać od Mistrza Konrada. Ponieważ jednak nie było takiej drogi, poszłam na seminarium z literatury staropolskiej; nie dla profesora, który je prowadził, ale dla staropolskiego języka, do którego zawsze miałam szczególną miłość, datującą się chyba od dzieciennego zauroczenia *Trylogią*. (Ten wybór miał się w dalszej przyszłości okazać jakby przygotowaniem do moich własnych badań, ale o tym jeszcze wtedy nie mogłam wiedzieć).

Właściwie jednak i bez należenia do Jego seminarium nikt nie był tak całkiem poza uwagą Mistrza Konrada: przekonałam się o tym ku swojemu zdumieniu podczas sesji egzaminacyjnej już przy końcu pierwszego roku, kiedy nagle zostałam do niego osobiście wezwana. A ja myślałam, że taki olimpijczyk w ogóle nie dzieli szarego tłumu na jednostki!... i czego może chcieć? Trochę racji z tym szarym tłumem to jednak miałam: Mistrz i wtedy, i przez długi czas jeszcze, nazywał mnie nie wiadomo czemu „panią Domańską”, chociaż wiele razy mówiłam mu swoje nazwisko. A sprawa była taka: kilka dni wcześniej zdałam (u innego profesora oczywiście) egzamin z literatury staropolskiej, na którym, mówiąc o Kochanowskim i jego przekładzie psalmów, wspomniałam, że czytam właśnie Biblię, ale mam z nią trudności. O ile dzisiaj pamiętam, były to typowe trudności dzieciaka, który się do tej lektury zabiera na dziko, zupełnie bez przygotowania; i myśli, że byle tę książkę otworzył, natychmiast w niebo uleci, a tymczasem trafia, na przykład, na przepis, ile soli trzeba posypać na łeb każdego ofiarowanego w świątyni jerozolimskiej barana. *Montanus* dowiedział się o tym od tamtego profesora i wezwał mnie, żeby mi dać wskazówki, jak się czyta Biblię. Powiedziałam: *Montanus*; bo przecież na toruńskim uniwersytecie Górskich było dwóch. Karol, historyk, mniej błyszczał od Konrada, nie mając aż takich do błyszczenia talentów, ale autorytet miał nie mniejszy, tak naukowy, jak i osobisty. Mówiąc o którymś z nich poza jego własnym wydziałem, trzeba więc było zwykle dodawać imię, żeby było wiadomo, o kogo chodzi. Ale tu i ówdzie był w użyciu pomysł prof. Abramowiczówny, która ich nazwisko podawała w przekładzie, dla Konrada łacińskim, dla Karola greckim: *Montanus* i *Oreinos*.

Ostatecznie więc nie byłam w ścisłym sensie uczennicą *Montanusa*, niemniej uważam go za jednego ze swoich mistrzów. Zawdzięczam mu – poza tym oczywiście, czym był dla mnie jako osobowość – uznanie literatury pięknej za ważny i potrzebny środek wyrazu tego, co dla człowieka ważne i potrzebne, nie zaś tylko za zbędną estetyczną zabawę lub zgoła szkodliwe rozproszenie uwagi (to pod adresem różnych duchowych mistrzów!). Ponadto zawdzięczam mu, poprzez owe sławne ćwiczenia z recytacji, podejście do tekstu mówionego, oparte – takie to proste i oczywiste, a tak rzadkie! – na jego pełnym i całkowitym zrozumieniu. Rozumieć nie znaczy tu tylko wiedzieć, o co w tekście chodzi, i móc go mniej więcej streścić własnymi słowami; rozumieć znaczy uchwycić strukturę tekstu, jego budowę, jego zworniki; wiedzieć, co w nim jest przenośnią i jaką rolę gra ta przenośnia; wiedzieć, jak on się składa z fraz i jak te frazy składają się ze słów. Wtedy do-



Prof. Karol Górski

Fotografia pochodzi ze zbiorów
Gabinetu Dokumentów Życia
Społecznego Biblioteki Uniwer-
syteckiej w Toruniu
– syg. f.-1077

piero można pokusić się o to, aby ten tekst wygłaszać. Jakże często słyszy się zawodowych nawet lektorów i recytatorów, którzy nadrabiają brak takiego zrozumienia (na przykład tekstów Norwida lub św. Pawła) uroczystym tonem... Ech. Lepiej wróćmy do mistrzów. *Montanus*, chociaż nie należałam do jego studentek, zapamiętał w końcu, jak się naprawdę nazywam, i nawet wyznaczył mi drogę badań: zaplanował, żebym to ja kiedyś, w dalekiej przyszłości, już jako plon wieloletnich przemyśleń, napisała historię religijnych wątków w literaturze polskiej. Jest takie opracowanie literatury francuskiej, należało pójść tym śladem. Żeby to jednak zrobić, powinnam była pozostać na uniwersytecie; tymczasem, kiedy w roku 1961 zdawałam magisterium, było już jasne, że ani ja tego nie chcę, ani mnie tam nie chcą. Jak mi wytłumaczył mój własny profesor, za dobrze był znany mój „katolicki światopogląd”, żeby zatrudnienie mnie zaaprobowwała uniwersytecka komórka partyjna. A mnie moje prywatne drogowskazy bardzo wyraźnie prowadziły już w stronę klasztoru i nie byłoby sensu podejmować zaangażowania, które wkrótce i tak musiałabym porzucić. I w ten sposób nadzieje mistrza *Montanusa* zawiodłam całkowicie.

Oreinos był dla mnie podczas studiów postacią zdecydowanie dalszą niż *Montanus*. Nie miałam z nim żadnych zajęć i znałam go raczej prywatnie, gdyż w jego domu zbierała się młodzieżowa sekcja Klubu Inteligencji Katolickiej. Pamiętam, jak kiedyś zimą, idąc ulicą, zobaczyłam idących z przeciwka: ówczesnego rektora (prof. Szarskiego) i *Oreinosa* właśnie. Kłaniając się im, potknęłam się w śniegu i po wyslizganej przez dzieci ścieżce przejechałam się na brzuchu prosto pod ich nogi. Panowie podnieśli mnie, otrzepali ze śniegu i stwierdzili, że jeszcze żadna studentka nie kłaniała się im tak nisko. Kiedy indziej miałam wobec *Oreinosa* nieczyste sumienie, bo nie napisałam jakiegos referatu na spotkanie Klubu; na jego widok chciałam jeszcze z daleka skrócić w przecznicę, ale skręciłam... nogę; i musiałam stać, trzymając się sztchet, aż mi ból przejdzie. Profesor tymczasem dotarł do mnie i widząc kalekę, odprowadził mnie tam, dokąd szłam. O moich winach mowy nie było, czym bardzo byłam zbudowana. Był to więc dla mnie ktoś znajomy, swój, godny zaufania, ale wtedy jeszcze nie mistrz. Oczywiście czytałam jego książkę *Od religijności do mistyki: zarys dziejów duchowości w Polsce*, ale nie mając pojęcia ani o historii, ani o historiografii Kościoła, nie wiedziałam, jak bogaty i jak mało znany obszar tematyczny otwarła ta książka.

Ktoś jeszcze inny grał wtedy ciekawą rolę w moim świecie, mianowicie profesor Henryk Elzenberg. Nasza znajomość zaczęła się od tego, że profesor zabrał się do pisania książki o Humie i poszukiwał wśród studenterii kogoś, kto by umiał pisać na maszynie, w tym także pod dyktando po angielsku. Na maszynie piszę do dzisiaj dwoma palcami... ale znaleźć kogoś, kto by się znanadto nie bał angielskiego dyktanda, było jeszcze trudniej; byliśmy przecież pokoleniem uczonym starannie tylko rosyjskiego, inne języki w szkołach traktowane były per nogam, a na uniwersytecie dopiero się pojawiały w postaci bogatego wyboru lektoratów, nowość niebywała; podobnie jak pojawił się sklep zwany Klubem Międzynarodowej Prasy i Książki. Ponieważ więc konkurencja była mała, dostałam to zajęcie i kilka razy w tygodniu przychodziłam do pracy. A chodziłam tam z początku jak przed królewski majestat i o mało co nie traciłam przytomności z wrażenia; ten mały, niepozorny człowieczek był przecież kimś tak sławnym i wiedział tyle! Ledwo się jednak jako tako oswoiłam i wciągnęłam w temat, praca się skończyła: profesor złamał nogę i znalazł się w szpitalu. Odwiedzałam go tam, nie wiedząc właściwie po co, bo na widok cierpienia (a cierpiał rzeczywiście strasznie i nic nie można było pomóc) język mi

stawał w gardle i mogłam tylko siedzieć, nieraz i przez godzinę, i patrzeć na niego z przerażeniem. Później się dowiedziałam, że moje wizyty lubił szczególnie, właśnie dlatego, że siedziałam cicho...

Do pracy nad tą książką nigdy już nie wrócił, ale znajomość się nie urwała; w jakimś sensie może nawet przyjaźń. Słuchałam jego wykładów z historii etyki, a kilka razy do roku odwiedzałam go. Przynosiłam swoje najnowsze przeżycia i zauroczenia; pamiętam, jak kiedyś po powrocie z Warszawy opowiadałam mu sztukę Dürermatta *Romulus Wielki*, a kiedy indziej była mowa o dziełach św. Teresy z Avili, które mi się okazały jakoś potrzebne do pracy magisterskiej o *Nadobnej Paskwalinie*. Elzenberg raczej słuchał, o ile pamiętam, niż sam mówił. Może myślał sobie, że podłotek, odkąd odzyskał język w gębie, potrzebuje się wygadać. Nie potrafiłabym, jak w wypadku *Montanusa*, określić jasno, co mu zawdzięczam. Ale był kimś bliskim i znaczącym.

Dokładnie odwrotnie było z profesorem Tadeuszem Czeżowskim. Nie przypominam sobie, żebym z nim kiedykolwiek rozmawiała prywatnie. Ale pewna jestem, i już wtedy to wiedziałam, że jego ćwiczenia z logiki dały mi coś wspaniałego, bo narzędzie myślenia i porządkowania uzyskanych informacji. Te ćwiczenia należały do programu nie polonistyki, ale filozofii, którą wtedy studiowałam równoległe z polonistyką; ale pierwszy użytek zrobiłam z nich podczas pisania pracy magisterskiej o wspomnianej tu już *Paskwalinie* Twardowskiego. I do dzisiaj jestem za nie profesorowi Czeżowskiemu głęboko wdzięczna.

A póki jesteście w Toruniu, jeszcze komuś należy się wzmianka i gorąca wdzięczność: profesor Zofii Abramowiczównie. I ona, jak *Montanus*, była swojego czasu usunięta z uczelni, ale wróciła po Październiku. Nasz kontakt był całkiem prywatny, ale zarazem i naukowy, bo pani profesor (czyli, jak mówiliśmy w kręgu znajomych, Anakonda) wyszperała mnie jako amatorkę języków obcych i zaproponowała mi całkiem prywatną i oczywiście darmową naukę greki. Było nas dwie na tym jej domowym lektoracie, ale na grece się nie kończyło; Anakonda miała wielką bibliotekę, z której chętnie udzielała każdemu potrzebującemu, to od niej po raz pierwszy dostałam na przykład do rąk książki Lewisa. Kontakt z nią był zawsze przywilejem, chociaż nie dozowanym, a dostępnym każdemu, kto tylko się nawinął i czegokolwiek potrzebował. Była na mojej drodze najdoskonalszym przykładem człowieka, który promieniuje Bogiem, chociaż nigdy o Nim wprost nie mówi; i to w Toruniu rozumieli wszyscy, także i ci, którzy nie nazywali tego promieniowaniem, tylko fideizmem czy jakoś podobnie, wedle swojego partyjnego żargonu, i którym się to wcale nie podobało. Cieszyłam się później, że jeszcze zdążyłam dać jej do rąk przekłady, które były skutkiem jej nauki; ale nigdy bym nie spłaciła tego dobra, jakim był jej przykład i serdeczność.

I to już mniej więcej wyczerpuje mój „Toruń mistrzów”. A *Oreinos*? Na niego przysłała kolej o wiele później, kiedy już byłam w klasztorze, i tu muszą mi Czytelnicy uwierzyć na słowo, że klasztory, jak rodziny, różnią się od siebie ogromnie, przynajmniej oglądane z bliska. Każdy jest przecież kształtowany przez warunki miejsca, przez swoje dzieje, przez konkretny skład osobowy... Mój był przeniesioną tuż po wojnie (czyli dopiero niecałe dwadzieścia lat przed moim wstąpieniem) wspólnotą benedyktynek z Wilna; tamże miał tradycje szkolne; przełożona, chociaż sama z wykształcenia matematyczka, miała szczególnie kult dla dziejów i podczas „repatriacji” wywalczyła przewiezienie klasztornego archiwum, którego sowieccy celnicy nie chcieli przepuścić przez granicę; wreszcie

Oreinos był siostrom znany jeszcze sprzed wojny w Wilnie, a teraz co lato przyjeżdżał tu [do Żarnowca] na wakacje. To wszystko złożyło się na specyficzną atmosferę, w której było rzeczą oczywistą, że pisać to tyle, co pisać historię. Kiedy więc dla przełożonej stało się jasne, że nowa siostra ma tego rodzaju zdolności i należałoby je wykorzystać, po prostu dała mi archiwum do uporządkowania i kazała „zgłosić się do profesora Górskiego”, żeby mi znalazł jakieś zajęcie. „Profesor Górski” to był w Żarnowcu zawsze i tylko nasz toruński *Oreinos*; *Montanus* nie był tu znany.

A Profesor Górski był zachwycony, że ktoś chce mu się dać zatrudnić. A pewnie! Na takim warsztacie, jak jego, zawsze więcej jest robót czekających na wykonanie niż czasu na nie. Natychmiast też zasadził mnie do kolacjonowania siedemnastowiecznych benedyktyńskich konferencji, które właśnie przygotowywał do druku. Tak znalazłam sobie kolejnego mistrza... i to tego, który się ze mnie jakiej takiej pociechy doczekał, bo wkrótce pozwolono mi zacząć długą wędrówkę po archiwach i ostatecznie poprowadziłam dalej jego linię badań nad dziejami polskich zakonów żeńskich. No i mogłam się odtąd pławić w staropolszczyźnie przez resztę życia do woli! Oczywiście *Oreinos*, na odległość między Toruniem a Żarnowcem, mógł mi tylko mistrzować korespondencyjnie – z dodatkiem dorocznych spotkań podczas wakacji. Niemniej to on właśnie nadał kierunek i bieg mojej pracy; wskazywał, wyjaśniał, łątał dziury w mojej wiedzy, bo przecież nie miałam za sobą nawet magisterium z historii, cierpiałam więc na wszystkie te trudności, które czekają kogoś, kto do jakiejś dziedziny wiedzy zabiera się po amatorsku. Ale dobrze nam się pracowało razem: on znał historię, a ja znałam życie zakonne od środka; w sumie dość rzadka całość.

Pamiętam, jak któregoś lata opowiadał mi, jakiego niedawno doznał wstrząsu, znajdując rano w gazecie klepsydrę o śmierci „Konrada Górskiego, polonisty”. Był zdumiony, bo nic nie słyszał ani o chorobie swojego imiennika, ani o śmierci; a tu już gazeta zdążyła wydrukować! „Zadzwoń mi natychmiast do wdowy, a w słuchawce odezwał mi się nieboszyk. Trochę mi się dziwnie zrobiło, ale pytam: Jak się czujesz? – A dobrze. – A wiesz, że cię uśmiercili? – Wiem, będę żył długo!”. Okazało się, że w Toruniu oprócz naszego *Montanusa* był jeszcze drugi Konrad Górski, i w dodatku też polonista, tylko że w liceum. Nikt o nim nigdy nie słyszał (poza jego uczniami zapewne), aż dopóki jego śmierć nie zrobiła sensacji...

Któregoś dnia Mistrz Karol powiedział:

Jest jeszcze coś, co by należało zacząć robić. Nieraz spotykam w literaturze historycznej stwierdzenia, że ten lub inny zakon w jakimś okresie był dla wstępujących szczególnie atrakcyjny. To może być prawda, ale takie zdania pozostaną zupełnie gołosłowne, dopóki się całkiem po prostu nie policzy tych wstępujących i nie zrobi kartoteki: ile, kiedy i dokąd kandydatek przyszło. Praca będzie zmuśna, bo to może być ładnych kilka tysięcy...

Tej pracy nie skończyłam do dzisiaj. Jeśli skończę, tysięcy będzie trzydzieści kilka; w chwili, kiedy to piszę, jest ich trzydzieści.

To, czego *Oreinos* dać mi nie mógł, mianowicie kontakt z duchowością monastyczną w jej dziejach poza Polską, dał mi nieco później kolejny i już ostatni z moich zmarłych mistrzów, ojciec Jean Leclercq, mnich, globtroter, ekspert soborowy i mały przenośny wulkan w jednej osobie. Historie naszych wędrówek po Polsce – bo odwiedzał klasztory położone za „żelazną kurtyną”, żeby im dodawać ducha, i jeździłam z nim w roli przewod-

nika i tłumacza – obfitowały w przygody, jak choćby ta, kiedy w pewnej sennie mieścinie powstał niepokój, że zjawili się jacyś podejrzani cudzoziemcy: „stary ksiądz i potężny mężczyzna przebrany za zakonnice”. Ale podczas tych wędrówek był czas na gawędę, a ojciec Jan był w dziedzinie duchowości i historii monastycznej światowym specjalistą numer jeden. W każdym razie ustawił moje pojęcia na ten temat i – co było bardzo ważne w owych czasach, kiedy mieliśmy mały dostęp do zagranicznych wydawnictw – zasypywał mnie z dobroci serca swoimi książkami. Dwie z nich udało mi się przetłumaczyć dla wydawnictwa benedyktynów tynieckich.

Ciekawe były czasy; i byli wspaniali ludzie. Dobrze jest wiedzieć, jak wiele się im zawdzięcza.

Małgorzata Borkowska OSB – po studiach na polonistyce UMK wstąpiła do zakonu benedyktynek i podjęła badania nad historią klasztorów żeńskich w dawnej Polsce. Najważniejsze publikacje książkowe: *Historiografia zakonna a wzorce świętości w XVII w.* (wspólnie z Karolem Górskim); *Życie codzienne polskich klasztorów żeńskich w XVII–XVIII wieku*; *Panny siostry w świecie sarmackim*; dwutomowy *Leksykon zakonnicy polskich epoki przedrozbiorowej*. Autorka wielu publikacji w czasopiśmie („Nasza Przeszłość”, „Więź”). Przełożyła między innymi *Apoftegmaty Ojców Pustyni*.

